

HISTORII, JAK KOBIECIE, TRZEBA ZAIMPONOWAĆ, ABY JĄ ZDOBYĆ

Czytając korespondencję z Przebraża naszej stałej współpracowniczki na Wołyniu Zofii Kałużnej, która zrelacjonowała pracę ukraińskich wolontariuszy na polskim cmentarzu wojennym, pomyślałem, że dokonało się. Oto Ukraińcy widząc, że w tym roku nikt nie przyjedzie z Polski posprzątać na święta wołyńskich cmentarzy wzięli sprawy w swoje ręce i zrobili to za nas. A może lepiej będzie napisać „dla nas”.

Oczywiście czeka nas jeszcze wiele debat i sporów w temacie relacji polsko-ukraińskich, ale czytając wypowiedzi młodych Ukraińców w tonie: *Jesteśmy bardzo wdzięczni Polakom za to, co robią teraz. Za ogromną pomoc humanitarną, za przyjęcie naszego narodu. Dlatego chcemy im pomóc i pokazać, że również traktujemy ich po bratersku. Takie gesty po obu stronach usuwają wszelkie wcześniejsze nieporozumienia* lub wyznania, że oto stracili brata (odwołanie do bratniego narodu jakim jest niby dla Ukrainy Rosja) a zyskali siostrę - Polskę, wiem, że sprawy zmierzają w dobrym kierunku. Od ruchowo spojrzałem w kalendarz, by sprawdzić, czyj to duch zawisł nad Wołyniem i okazuje się, że tych duchów pojednania mamy dziś całe legiony.

Zacznę od tego dla mnie najważniejszego. 34 lata temu, 18 kwietnia, w Madrycie zmarł wybitny poeta i publicysta, dwukrotny redaktor naczelny „Kuriera Lubelskiego” Józef Łobodowski. To pierwszy dobry duch pojednania, chociaż jego oceny zawarte zarówno w publicystyce, jak i poezji, często były zbyt trudne do przyjęcia dla obu stron konfliktu. I do dziś się nie zdezaktualizowały. Zarówno oceny jak i problemy z ich przyjęciem bez emocji. Bo jak przyjąć na spokojnie słowa, które Łobodowski opublikował w 1952 roku w „Kulturze” w artykule „Przeciw upiorom przeszłości”? Pokolenia, które nie zaznały wojny łatwo teoretyzują problem pojednania, wojny, ofiary i przebaczenia. Jednak gdy wojna puka do drzwi i oglądamy stosy ofiar, trudniej już o chrześcijańskie gesty. Inną pracę trzeba w sobie przeprowadzić, nie tylko teoretyczną, ale zdać egzamin z żywego chrześcijaństwa.

„Jakież jest wyjście z krwawego kręgu tej nienawiści, która potrafi rodzić podobne tragedie? Spierać się bez końca o to, kto pierwszy zaczął, kto bardziej zawinił, kto przelał więcej krwi? Czy może właśnie pokusić się o inne pierwszeństwo, o pierwszeństwo wyciągniętej dłoni?

Dziesięć lat temu, siedząc w więzieniu, nie wiedząc, kiedy z niego wyjdę, i nie wiedząc prawie nic o tym, co dzieje się w kraju, ale przeczuwając nieomylnie dalszy rozwój wydarzeń, pisałem te strofy:

*Więc nie powtarzaj słów nienawistnych
w malignie,*

zawołaj raczej:

*- Ten z nas zwycięży, który się pierwszy wy-
dźwignie*

*w Anielską Łaskę Przebaczeń!
Może przez ową nienawiść poddaniśmy
anathemom
przez strasznego Sędziego,
a ręka, która nas gniecie, i barbarzyńców
przemoc
to tylko kary narzędzie.*

*I nie usłysz nas Święci, gdy nie dochodzi
do nich
w bluźnierstwie poczęty pacierz,
aż ci wypadnie pozew z ściśniętej dłoni
i szepniesz: Bracie!*

A jeśli takie słowa nie mają żadnego znaczenia wobec «doniosłych» racyj politycznych, jeśli mają nadal rządzić żelazne prawa - my albo oni - zaś faktami dokonanymi kierować serie z automatów, oddawane do bezbronnym kobiet i dzieci, Dermanie i Janowe Doliny, to przynajmniej nie bądźmy hipokrytami, przynajmniej nie uzurpujmy sobie nazwy chrześcijan. To widać, Święty Jur i Katedra lwowska, kolegiata w Ołyce i Ławra Poczajowska stoją nadaremnie od tyłu wieków na Ziemi Czerwieńsko-Wołyńskiej. I widać, mają rację barbarzyńcy ze Wschodu, gdy nasze kościoły i cerkwie zamieniają na kina i kluby komsomolskie!”.

Artykuł pisał Łobodowski dziesięć lat po dramatycznych wydarzeniach na Wołyniu i w Galicji Wschodniej, jednak wiersz pisany był w dniach zbrodni. Mało kogo stać na taki heroizm i trudno go wymagać. To raczej łaska niż powinność.

41 lat temu, 23 kwietnia, w Warszawie zmarł drugi dobry duch pojednania, Henryk Józewski - polski polityk, działacz niepodległościowy i państwowy II Rzeczypospolitej, artysta malarz, piłsudczyk, wiceminister spraw wewnętrznych w rządzie Semena Petlury, minister spraw wewnętrznych, wojewoda wołyński, wojewoda łódzki. Twórca eksperymentu wołyńskiego.

„Sprawa ukraińska nie była dla mnie pierwszą lepszą sprawą polityczną, nawet bardzo ciekawą i doniosłą. To, z czym miałem do czynienia, było więcej niż „ciekawe”. Chodziło o sojusz polsko-ukraiński, o wyzwolenie Ukrainy z bolszewickiego jarzma, to znaczy z moskiewskiej niewoli. To właśnie stanowiło o Polsce, o tym, że Polska jest Polską” - pisał Józewski w „Zamiast pamiętnika”, zbiorze wspomnień, które zaczął spisywać po wojnie siedząc w komunistycznym więzieniu.

Henryk Józewski jako członek rządu Ukraińskiej Republiki Ludowej był bardzo blisko spraw wschodnich. Rozumiał je jak nikt inny, i jak mało kto wiedział, jaką wagę miały stosunki polsko-ukraińskie: „Polska, wcześniej nieuznająca istnienia URL, zdecydowała się na podjęcie rozmów z Symonem Petlurą, szefem ukraińskiego Dyrektoriatu, licząc na zbudowanie frontu antybolszewickiego. Na mocy zawartego porozumienia oficjalnie uznano prawo wschodniego sąsiada

Wojciech
Pokora



do samostanowienia. Ukraina zrzekła się pretekstu do Galicji Wschodniej i Wołynia oraz obiecała Polsce pomoc militarną”.

To był bardzo obiecujący sojusz, i tu dochodzimy do „legionów” dobrych duchów. 102 lata temu, 21 kwietnia 1920 r. Rzeczpospolita Polska i Ukraińska Republika Ludowa zawarły w Warszawie tajną konwencję polityczną. Określała ona granice między państwami i stanowiła podstawę do podpisania kilka dni później sojuszu wojskowego wymierzonego w bolszewików. Szybko jednak okazało się, że to niezwykle niewygodny sojusz, który jak żywo przypomina dzisiejszą sytuację. Józewski relacjonował: „W tym strasznym i niesamowitym koncercie głos ukraiński wzywający do walki o wolność Ukrainy gubił się i ginął bez echa. Głos ten był nieustannie tropiony, tępiony, wypalany krwią i żelazem albo łapany w potrzaski zakłamania i obłudy, kneblowała go ludzka małość i ludzki strach. Głos ten jednak nie ginął”.

Jeśli cokolwiek uczy nas historia, to właśnie tego, że momenty zbliżenia narodów można łatwo roztrwonić porzucając marzenia o pokoju. Sto lat temu wspólny wróg zjednoczył nasze dwa narody do wspólnej walki. Dwadzieścia lat później doszło do wielkiej zbrodni, w której trudno doszukiwać się śladów niedawnego braterstwa. Dlaczego? Bo bardzo mocno wzmocniła się rola w naszych wspólnych relacjach trzeciego gracza - Moskwy.

Bardzo ciekawie opowiadał o tym w jednym ze swoich ostatnich wywiadów Jan Olszewski, były premier rządu RP w latach 1991-1992, żołnierz Szarych Szeregów, obrońca w procesach politycznych w okresie PRL: „Potrzeba tu bardzo pogłębionych badań. Także w kwestii roli sowieckiej w wywołaniu tej zbrodni. Osobiście doskonale rozumiem obawy Bandery, który dopatrywał się wpływów sowieckich w ukraińskim radykalnym ruchu niepodległościowym. Te obawy nosiły wręcz znamiona może nawet obsesji. Ale ta obsesja miała swoje racjonalne podstawy. Myślę, że historycy polscy i ukraińscy powinni watek sowieckiej inspiracji dla zbrodni wołyńskiej poważnie wziąć pod uwagę”.

Józef Łobodowski pisał: „Historii, jak kobiecie, trzeba zaimponować, aby ją zdobyć. Klótnią o halicko-wołyńskie podwórko nikomu na świecie się nie zaimponuje”. Opinia lubelskiego poety i publicysty sprawdza się dzisiaj w stu procentach. Światu zaimponowała jedność naszych narodów oraz zaangażowanie Polaków w pomoc sąsiadom. Może niedługo, po zwycięskiej wojnie z Rosją, będzie także klimat do wspólnych poszukiwań źródeł zbrodni na Wołyniu. Dzisiaj, patrząc na moskiewskie zbrodnie w Buczy, Irpieniu i Hostomlu coraz łatwiej uwierzyć w teorię, którą forsował Olszewski, o rosyjskich inspiracjach ludobójstwa na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej. ©®